№ 50.

WARSZAWA DNIA $\frac{2}{14}$ Grudnia R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Od Redakcji.

W roku przyszłym 1868. Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami i pod tą samą redakcją. W samem tylko wydawnictwie zajdą zmiany z pozostawieniem jednak rycin paryzkich kolorowanych, co praktyczny pożytek pisma naszego rozszerzy i więcéj uwydatni.

Po ukończeniu drukującéj się powieści, rozpoczniemy zaraz nową oryginalną pani Pauliny Wilkońskiéj p. t. *Macocha.*

Wszyscy nowi prenumeratorowie początkowe numera téj powieści za zgłoszeniem się do redakcji dostaną bezpłatnie.

Upraszamy o wczesne zapisy na właściwych stacjach pocztowych i o czytelne nadselanie adresów, bo od tego zależy dokładność rozsyłania egzemplarzy, przez Ekspedycją pocztową pism perjodycznych w Warszawie. Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie . . .	rs. 1	kop.	50.
Na prowincji (*I Cesarstwie,* (półrocznie . . .	rs. 3	„	75.
Koperta półrocznie	rs. 1		

KORESPONDENCJA Z PARYŻA.

(Dalszy ciąg).

Otóż mówi pan Rénan, widzimy Faustynę przedstawioną dotychczas jako prawdziwy bicz boży i jako źródło największego udręczenia dla męża, odmalowaną w sposób zupełnie odmienny przez człowieka najbardziéj do niéj zbliżonego, znanego z wielkiéj szlachetności charakteru, który jednak nie wahał się stawić jéj nazwiska obok nazwiska własnych rodziców, o jakich wspominał zawsze z najwyższem uwielbieniem i religijnem poszanowaniem.

Obok świadectwa męża pan Rénan powołuje się na rozmaite postanowienia senatu wydane po śmierci Faustyny, a dowodzące wysokiéj czci i poważania, jakiemi to uczuciami dla zmarłéj przejęte były serca najznakomitszych mężów w cesarstwie, stanowiących w pewnym względzie ciało odrębne i niezależne. Rzeczywiście senat rzymski skoro tylko powziął wiadomość o zejściu cesarzowéj, natychmiast wydał rozporządzenia, mające na celu uwiecznienie niejako pamięci zmarłéj i otoczenie jéj najwyższem poszanowaniem. Dosyć tylko powiedzieć że wzniesionym został ołtarz pod jéj imieniem, na którym nowo zaślubione pary, obowiązane były składać wota i odmawiać przepisane modlitwy. Nadto w teatrze w loży cesarskiéj w miejscu gdzie siadała zmarła, postawiono jéj pomnik wyrobiony ze złota, przy którym siadały kolejno najznakomitsze panie rzymskie.

Obok tych szczegółów, autor przytacza listy Marka Aureljusza donoszące senatowi o śmierci Faustyny, oraz dziękujące za wydanie powyżéj wymienionych postanowień, listy pisane wyraźnie ze łzami w oczach, malujące najwyższą boleść i rozpacz osieroconego małżonka, a zarazem najwyższą wdzięczność dla dygnitarzy państwa, za należyte uczczenie osoby ukochanéj.

Pan Rénan nie pomija najdrobniejszego szczegółu mogącego posłużyć do obrony cesarzowéj i dlatego wspomina o obeliskach, przedstawiających rozmaite sceny z jéj życia, mogące dać najlepsze wyobrażenie o jéj charakterze i sercu. Jeden z takich obelisków wyobraża ją rozdzielającą ubogim jałmużnéj; piękna znowu płasko rzeźba znajdująca się w mieście Albani, jest niemniéj charakterystyczną, bo wyobraża Faustynę sypiącą zboże w fartuszki młodych dzie-

weczek. Nie podobna wspominać o wszystkich zabytkach tego rodzaju pozostałych z owéj epoki wspominamy więc tylko jeszcze o jednym posągu, wyobrażającym Faustynę w apoteozie, wzlatującą ku niebiosom i spoglądającą z miłością na małżonka, jakby go chciała pocieszyć nadzieją prędkiego połączenia się. Wstrzymamy się od wszelkich uwag krytycznych nad temi dwoma pracami; czas pokaże czy powyżéj wymienieni autorowie dopieli zamierzonego celu, przywracając do czci i sławy dwie kobiety dotychczas tak surowo osądzone. To tylko jest pewnem, że im mniéj cieni a więcéj światła znajdujemy na kartach historji, tem jest korzystniéj dla wzrastających pokoleń, bo te kształcić będą umysł i serce przez odczytywanie dobrych przykładów, a nie wstrętnych i odpychających.

Z kolei, a podobno najobszerniéj wypada nam mówić o odczycie pana Canus ogłoszonym w Revue litteraires pod tytułem: Causerie historique et littéraire sur la gastronomie. Przedmiot ten jest może ważniejszym, aniżeli zdaje się na pozór i nie należy nigdy zapominać o zdaniu Macanlag'a znakomitego pisarza angielskiego, zalecające zwracać baczną uwagę na sposób żywienia się rozmaitych narodów. Jest rzeczą niewątpliwą mówi on, że pożywienie wywiera ważny wpływ na moralność, na umysł i na imaginacją pojedynczego człowieka, a tem samem i całego narodu. Kuchnia doskonale oznacza stopień cywilizacji i dlatego można powiedzieć: że jaka kuchnia taki naród. Zbytek w jedzeniu i piciu sprowadza ociężałość, czyni człowieka niezdolnym do pracy, wiodącym sferę różnych rozrywek jeszcze więcéj osłabiających go i czyniących mu wstrętnem każde zajęcie poważniejsze. Brak znów pokarmu i napoju właściwego, wywołuje te same następstwa co zbytek, bo również osłabia człowieka i czyni go niezdolnym do pracy. Nędzna więc kuchnia lub zbyt obfita jest zwiastunem choroby całego narodu, a kuchnie posilne lecz umiarkowane, oznaczają naród pełen siły i czerstwości. Nauka kucharska wiąże się ściśle z historją cywilizacji ogólnéj i równie jéj początku, należy szukać w odległéj przeszłości, puszczy azjatyckich. Zabytki z téj epoki mówią o ucztach Baltazara Sardanapala, ale dają tylko słabe zarysy owych wspaniałych przyrządów wschodnich dopełnianych w okolicach, gdzie nie tylko zbudowano siedem cudów świata jak mury Niniwy, babilońskie ogrody i t. p., ale gdzie również i kucharze poraz pierwszy poczęli dawać dowody swéj twórczości i talentu.

Grecy przejęli cywilizację ze wschodu, potrafili jednak nadać jéj cechy oryginalne, co także okazuje się widocznem i w sztuce kucharskiéj. Dzięki Homerowi mamy wyobrażenia o sposobie życia dawnych Greków w szczegółowym opisie uczty wydanéj przez Achilesa na cześć Ulisesa, Nestora i Feniksa, wysłanych w poselstwie do tego słynnego bohatera.

Achiles wyszedł na przeciwko zbliżających się gości, wyciągnął do nich rękę i rzekł im:

— Pozdrawiam was przyjaciele; bezwątpienia jakiś nagły interes sprowadza was do mnie dowiedźcie się, że jesteście memu sercu droższemi niżeli wszyscy Grecy razem wzięci. Synu Menucjusza przynieś największą wazę, wléj w nią najmocniejszego wina i rozdaj kubki drogocenne, bo oto pod moim dachem znajdują się ukochani goście, a radbym im dać dowody największéj gościnności."

Patrokl wykonał rozkazy Achillesa, a późniéj przysunął do komina stół kuchenny, położył na nim łopatki owcze i tłustą kozę, jakoteż i soczyste boki wieprzowe. Achilles poprzecinał je na części, a późniéj zatknął na rożnie, a wygarnąwszy rozpalone węgle, umieścił po nad niemi przygotowane pieczenie, posypane solą uważaną za świętą. Skoro mięso należycie upieczonem zostało, Patrokl podał gościom piękne koszyki napełnione chlebem, a Achiles krajał mięso na kawałki i podawał je po kolei siedzącym przy stole.

Wyjątek ten jest nadzwyczajnie charakterystycznym, bo widzimy tam króla przyrządzającego osobiście posiłek dla zebranych gości, nie dla tego aby mu brakło domowników, zdolnych do wyręczenia, ale dla tego że ma w gościnie osoby znakomite i chce je uczcić odpowiednio. Do warunków dobrego wychowania należała umiejętność równego podziału dania pomiędzy zaproszonych gości; i dla tego wszyscy zwracali baczną uwagę na dzielącego gospodarza do każdego kawałka kierując spojrzenia, aby przekonać się, czy wydzielone porcje były jednostajnéj wielkości. Kuchnia grecka w owych czasach odznaczała się niewątpliwie wielką prostotą, ale mimo tego objawiała się już jako sztuka w obec czasów dawniejszych, w których najznakomitsze osoby żywiły się owocami na podobieństwo patryarchów w czasach pierwotnych.

Homer opisuje szczegółowo rozmaite naczynia, używane w kuchni, jakoteż podawane gościom podczas uczty i znajdujemy tam wzmiankę o trójnogach, drogocennych miednicach, pysznych kubkach i kosztownych materjach pokrywających krzesła na których siadały zaproszone osoby. Sztuka jednak kucharska w całym blasku swoim miała zakwitnąć dopiero w osiemset lat późniéj, a to w Atenach gdzie wykwintność pod każdym względem dosięgła najwyższego stopnia rozwoju.

Nie szło tu bynajmniéj o obfitość, ale o zaspokojenie smaku i harmonijną rozmaitość, a nazwiska osób jak Perykles, Gorgjas i Alcibiades, słynnych z umiejętnego podejmowania gości, przeszły do wiadomości najpóźniejszych pokoleń. Zawsze i wszędzie obrazy piśmienne malujące, życie współczesne starają się narysować typy najbardziéj wybitne, to też w utworach greckich, a szczególniej w komedjach często spotykamy osoby mające bezpośredni stosunek ze sztuką kucharską, jak naprzykład kuchmistrza, przekupniów targowych, dostarczających żywność i nareszcie owych słynnych rezydentów posiadających kiedyś wszędzie i u nas także ważne znaczenie.

(d. n).

POGADANKA TYGODNIOWA.

Znałem jednego ale już nie weredyka, od którego uciekam jak oparzony, wykręcając się zręcznością lisią przy każdem spotkaniu: otóż znałem jednego nie umiejącego ust otworzyć bez przypomnienia bytności swéj w Ułanowicach. Jest to podobno licha wioszczyna czy osada, leśna i jałowa, dla znajomca jednak mego była rajem, bo chleb mu dawała nie bogaty ale pewny. Biedak stracił go, gdy więc później świecił wytartemi łokciami, i często borukał się z dokuczającym mu głodem, cóż dziwnego, że mu zawsze stawały na myśli czasy dostatku i sytości? Czy mówił o Ameryce lub naszym Pociejowie, czy o niedościgłych okiem światach, lub o śpilki łebku czy o kopalniach złota lub butach podartych, zawsze wyrażenie: *jakiem był w Ułanowicach*, w pierwszym stawało szeregu. Za niem dopiero w procesjonalnym pochodzie szedł cały tłum słów, zdań, uwag, a nawet filozoficznych postrzeżeń, często przypiętych jak kwiatek do kożucha, zawsze jednak świadczących, że się wyrosło w głowę nie do saméj pozłoty, ale i do kapelusza. Zabawna to była figurka, w fortunnych czasach wiecznie uśmiechnięta, w niefortunnych smutna i skrzywiona, dawszy za wygraną przeciwnemu losowi, stała się tajemniczą, podejrzywującą wszystkich i oglądającą skrycie na wszystkie strony.

Nie dawno spotkałem się z nim w alei Jerozolimskiéj i powitałem życzeniem dnia dobrego.

— Bóg zapłać — odrzekł wzdychając, ale trudno to o dobry dzień dla mnie w Warszawie. Jakiem był w Ułanowicach to i o północku można mnie było witać życzeniem dnia dobrego, ale tu....?

— Gdzież idziesz? — zapytałem chcąc przerwać dalsze lamentujące wywody.

— Ha! tak, gdzie mnie oczy poniosą. Jakiem był w Ułanowicach, to i chwili nie było na próżną włóczęgę, ale w Warszawie czas mógłbym sprzedawać na porcje jak zrazy albo flaki. Wiesz co Janku, że założenie handlu ze sprzedażą czasu byłoby wyborną spekulacją. Kupowalibyśmy go od wszystkich próżniaków, jakich dziwię się że nie wysłano na Wystawę powszechną w Paryżu. Zaręczam żebyśmy towarem tym cały świat zadziwili.

— Złośliwy jesteś mój kochany mantyko — odezwałem się, próżniaków nigdzie nie brakuje, więc handel czasem udałby się wszędzie. Ale odrzuciwszy fantazje, mogę ci rzeczywistą rzecz przedstawić a równie zdumiewającą, to jest sklepy oddające swój towar za darmo....

— No proszę, za darmo, a czy czasem niedopłacają? Jakiem był w Ułanowicach....

— Ej! przerwałem niecierpliwie i podnosząc głos, a głowy zadzierając mówiłem daléj, jakiem był w Paryżu takie sklepy widziałem na własne oczy, możesz mi wierzyć. Należą one do spółki kupieckiéj z kapitałem zakładowym kilkanaście miljonów franków wynoszącym. Kupujący za brany towar płacą wprawdzie gotówką, ale na każde sto franków tym sposobem wnoszone odbierają równéj wartości bonę, która po latach coś sześćdziesięciu najpóźniéj zostanie zrealizowaną. Operacją handlową w taki sposób urządzono, że skutkiem składanego procentu powstaje fundusz odpowiedni złożonemu przez kupujących kapitałowi, którzy tym sposobem towar brany dostają niejako za darmo, bo wydatek na niego będą mieć sobie powrócony. Umorzenie wydawanych bon odbywa się corocznie przez losowanie, szczęśliwym więc trafem można po upływie roku uzyskać zwrot pieniędzy na kupno towaru wyłożonych. Mniéj szczęśliwy, bony może zostawić sukcesorom, wydatkując więc nawet wszystkie dochody, gromadzi bez żadnego starania kapitał, za który od dziedziczących go choć pobożne westchnienie uzyska w nagrodzie. W sklepach tych mieści się wszystko służące do potrzeb codziennego użytku, chleb, mięso, wino, owoce, drzewo, ubranie, sprzęty domowe, meble, instrumenta muzyczne, powozy, nawet książki więcéj jak u nas cokolwiek kupowane.

— A to dziwne — odezwał się znajomiec i oglądając się szepnął mi do samego ucha, jakiem był w Ułanowicach, to Izydorek co go znałeś, brał także z handlu Joska towar za darmo, ale za niego nie płacił i bon nie dostawał. Kredyt ten uczynił coś parę tysięcy i pozostał na wieki kredytem. Takie więc operacje handlowe u nas się dosyć praktykują i jestem ich najwyższym zwolennikiem, ale o podobnych paryzkim pierwszy raz słyszę.

— Są jednak rzeczywiste, odezwałem się, jakiem był w Paryżu....

— Ale wierzę ci, wierzę, przerwał znajomiec, bo i ja jakiem był w Ułanowicach....

— Co u licha! — pomyślałem sobie — czy mi przymawia Ułanowicami?

Znajomiec uśmiechnął się widząc moje badawcze spojrzenie w siebie wlepione i potrząsając tabakierką do zażycia mówił daléj:

— Każdy sobie rzepkę skrobię. We Francji kapitałów widać jak plewy i nie wiedząc co z niemi robić, wymyślają spekulacje o jakich nie śniło się nawet najmędrszym filozofom. U nas znowu plew więcéj, gdyby więc można spółkę tę kupiecką odwrotnie urządzić, to jest gdyby w sklepach wszystko sprzedawano za bony, a zrealizowanie należytości zostawiono sukcesorom, to zaręczam że odbyt towaru do monstrualnych doszedłby rozmiarów. Jakiem był w Ułanowicach...

— Ej! dałbyś pokój z temi wiecznie swemi Ułanowicami...

— Mój Janeczku i w Paryżu z jęczmienia nie zrobią ryżu — przerwał maruda widocznie pijąc do mnie przytyczkiem— w Ułanowicach przesiedziałem większe pół życia, to cóż dziwnego że co w sercu to i w mowie? W Paryżu tysiące było podróżników, a do Ułanowic pies nawet Warszawski nie zajrzał, więc Ułanowice jako mniéj znane ciekawsze od Paryża.

Zarumieniony z uszami chciałem porzucić nudziarza, ale uchwycił mnie za rękę i wspinając się na palcach szepnął w ucho:

— Wracając do dogodności handlowych, o skle-

pach z kredytem wypłacalnym przez sukcesorów pomyślcie. W tych dniach nocowałem u pana Adama, cały wieczór lokaj był czynny w całym przepychu luksu i pańskości. Wprawdzie u surduta brakło mu guzików, a pod jedną pachą kawałka sukna, meble okrywał podarty aksamit, u firanek brakło frendzli, w fortepjanie strun bez liku, na lampie szkła całego, w dywanie były dziury, w serwecie plamy, ale zawsze łuksu nie brakło i w przyjęciu i w podaniu. Na drugi dzień, do obtarcia po umyciu dano mi serwetę, gdyż mi lokaj oświadczył, że ręczników nie ma zupełnie, spałem zaś na obrusie rozesłanym, zapewne również dla braku prześciradła.

W wyniesionych rzeczach okrywka pańska i płaszczyki paniczów miały kołnierze futrzane, a dziurawą podszewkę z powyrywaną watą zapewne do użytku domowego.

Na salopie pani błyszczał kołnierz tumakowy, a pod spodem podbicie z wiatru utkane, wierzch miała styrany, ale mi oświadczył lokaj, że pani już wzięła na kredyt materji po trzy ruble łokieć dodając, że i futro chciała sprawić, ale kupiec nie chciał kredytować, bo jeszcze za kołnierze nie został zapłacony.

— U nas proszę pana — dodał mi w końcu filuternie — wszystkiego byłoby po uszy, bo państwo lubią porządek, tylko to nieszczęście że o kredyt trudniéj im jak o pieniądze.

Gdyby nie to, mielibyśmy i ręczniki i prześcieradła, raj panie byłby tutaj, raj—ale tak jak jest, to czyste piekło. Patrzno pan jakie to pani ma kalosze.

Spojrzałem, u obu w piętach i w podeszwach przy palcach były dziury jak talary, tak że można było niemi patrzeć jak przez okulary. Z wierzchu jednak lśniły się bez skazy i zużycia.

— Chciałem to już wyrzucić—mówił daléj lokaj z równą zawsze powagą — ale mi nie dano, bo w sklepie nie chcą dać na kredyt tylko za gotówkę, a tu gotówka żółwiem wchodzi, a skrzydłami wylata. W przeszłym roku mieliśmy bal, ale wszystko w nim było na kredyt. A co to było rejwachu, to aż się w głowie przewracało. Rano dopiero w sam dzień balu, pani wyprosiła u siostry swéj farby do zaprawy podłogi: za firanki od praczki z prania, pani zastawiła suknią i kapelusz. A tu panie nie ma nic, ani cukru, ani wina, ani chleba, ani świec. Daléj że więc ja w jedną stronę, pani w drugą, panienki w trzecią, panicze w czwartą, pan w piątą i jak zaczeliśmy latać od ulicy do ulicy, od komina do komina, tak ja wylatałem dwa ruble i pół złotka, panicze po rublu, to samo panienki, pani cztery, pan siedem.

W pół godziny panie już grosza z tego nie było, a tu wina ani krzyny, dalejże więc krętu wentu, ale panie ani rusz! Kupcy jak na zmowę, w kamień się poobracali. Jednego to pan w ramię pocałował a ja w rękę, ale gdzie tam, nie dał się ubłagać. A tu panie grajek wyrzyna na fortepjanie, salon się napełnia zaczynają podrygać, oglądać za winem, państwo się chowają, ja obiecuje całem gardłem wypytując się o gatunek wina, a potem daję nura do bramy. Pan nadchodzi, wina nie ma, ale jest dorożka a w niéj lichwiarz wielki pański przyjaciel. Pakujemy więc salopy, surduty, płaszczyki, pan chwyta na zastaw pieniądze i pędziem po wino na złamanie karku.

W tym pośpiechu w sieni, wpadamy na beczkę, pan na spód ja na niego, pan obciera sobie czoło ja podbijam oko, walamy się po uszy, paćkamy w błocie, ale marsz w drogę z koszami wina i pędziemy do domu. Bóg strzegł że się butelki nie potłukły, ale panie co się w domu działo, to termedje nie do opisania. Pani płakała, panienki załamywały ręce, panicze desperowali, a goście uśmiechając się skrycie, już się zabierali do domu. Otóż dla takich — mówił daléj maruda oglądając się tajemniczo—sklepy z wypłatą należytości przez sukcesorów byłyby dobrodziejstwem.

— Dobrze, dobrze—odezwałem się odsuwając nudziarza od siebie—ale po cóż mi to wszystko tak szepczesz w tajemnicy?

— Żeby kto przypadkiem nie usłyszał, bo dopiero miałbym się spyszna.....

— Więc to, co opowiedziałeś fantazja tylko wymarzona?

— Jako żywo prawda najświętsza.....

— A więc co się z nią chować? przerwałem.— Owszem wejdź na wieże strażowe i obwołuj po całem mieście...

— Aj!—aj! aż mnie dreszcze przeszły. Jeszcze Jorates zięć Adama i Ewy powiedział: że prawda w oczy kole i tak bywa że się o nią każdy gniewa.

— Niech gniewa i kłuje, odrzekłem, nawet niech piecze i pali, to nas zrażać nie powinno....

— Wiec zapewne, przerwał mi z płaczliwem skrzywieniem, pogadankę naszą wypiszesz i wydrukujesz?

— Naturalnie i to dziś jeszcze....

— Więc zgubionyś na wiek wieków amen, bez ratunku i powstania, zawołał maruda i kopnął się w Żelazną ulicę, oglądając się za mną trwożliwie.

KORESPONDENCJA.

Pani Leńkie: Ufarbowanie sukni jedwabnéj kosztować będzie rs. 3.

Pani Marij Pe: Upranie szala białego kosztuje rs. 4. Sprawunki ułatwione być mogą.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z drzeworytami i arkusz z krojami oznaczony numerem 206, należący także do N. 51 Tygodnika Mód.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dwadodatki.)

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belcjowskiéj.

(Dok. nastąpi.)

O szkoda żeś była u niéj, zapomniałem powiedzieć ci zerwałem z nią na zawsze.

— Czemu?

— Bo jest to najnikczemniejsza z kobiet jakie kiedykolwiek znałem; gdy lepiéj będziemy z sobą, dodał uśmiechając się dam ci poznać dokładnie jéj przewrotny charakter; wtedy opowiem ci wszystko, wszystko.... czy słyszysz Marjo?

Słowa te wyrzekł głosem tak naturalnym, tak pełnym słodyczy i dobroci, iż hrabina odetchnęła swobodniéj, pozbyła się zimnej obojętności i z zajęciem słuchała słów męża. Straszne mary zalegające jéj umysł zaczęły pierzchać powoli, mówiła sobie iż zostawała pod wpływem strasznego jakiegoś snu lub chwilowego szaleństwa, gdy w tem nagła zmiana w wychodzeniu męża, zbudziła znowu usypiające obawy. Teraz z kolei p. de Camors stał się roztargnionym i widocznie ogarniał go straszny jakiś niepokój, mówił tylko urywanemi słowy, nie wiedział co odpowiadał, zamyślał się i zatrzymywał nagle, oglądając w około jak przestraszone dziecko. Ta niepojęta zmiana tak rażąco odbijająca od poprzedniego postępowania, tym więcéj przeraziła hrabinę, wtedy właśnie znajdowali się w najodleglejszéj, w najciemniejszej części lasu.

Jakiż to dziwny zachodził stosunek w wspólnych dręczących ich myślach! W tejże chwili kiedy pani de Camors drżała przerażona przy boku męża, on znowu lękał się czy cios zabójczy nie zagraża jéj życiu, bo zdało mu się iż wyraźnie słyszy że ktoś podąża za niemi. Już to słyszał skrzypienie gałęzi, już to szelest liści, już to nareszcie odgłos przytłumionych kroków, odgłos ten ustawał gdy on się zatrzymywał, dawał się słyszeć gdy znowu iść zaczął. Raz zdawało mu się wyraźnie że widział cień osoby, przesuwającéj się prędko między krzakami, z początku myślał czy to niejaki czychający na jego zwierzynę myśliwiec, ale przypuszczenie to nie mogło się ostać, obok widocznego zamiaru śledzenia ich kroków. Więc nie ma wątpliwości, powiedział sobie, ów cień niewidzialny nie bez celu im towarzyszy, i stanęły mu na myśl wczorajsze odgróżki margrabiny, a zastanowiwszy się nad namiętnie rozkiełznanym charakterem téj kobiety, straszne podejrzenie zamieniło się w pewność. Czyż nie powiedziała mu wyraźnie iż łatwo byłoby znaleść rękę, coby się stała jéj zemsty narzędziem?.... a była tak bogatą że fakt taki bynajmniéj nie był niepodobnym.

Nie chcąc niepokoić żony, nie zwracał jéj uwagi na ów rodzaj niewidzialnéj w ślad za nimi goniącéj mary, nie mogąc jednak ukryć strasznego niepokoju, który co krok większe przybierał rozmiary, rzekł drżącym głosem:

— Zimno mi, dreszcz mnie przechodzi, proszę cię Marjo, chodźmy trochę prędzéj.

Przyśpieszył kroku, zamierzając wrócić do pałacu szeroką drogą otoczoną mieszkaniami, kiedy doszli do brzegu lasu, jakkolwiek dochodził go jeszcze niekiedy niepokojący odgłos, ochłonął jednak, odzyskał swobodę umysłu, rozśmiał się w duchu z minionego przestrachu, i ukazując żonie śliczny roztwierający się widok, zatrzymał się w miejscu będącem celem ich przechadzki. Tu po nad bardzo głębokiemi lochami dawno zarzuconéj kopalni marglu, wznosił się jakby mur skalisty, uwieńczony krzakami fantastycznych kształtów, zasłaniającym ściany parowu. Białość kamieni, migotliwy odbłysk strumienia szemrzącego w głębi otchłani, wszystko to oświetlone bladawem światłem księżyca, tworzyło jakiś dziwnie uroczy, dzikiéj piękności krajobraz.

Ponieważ marglarnię tę otaczały przepaściste urwiska i ciernista krzaki, zatem chcąc wyjść z lasu na przyległy gościniec, trzeba było okrążać ją w około, co bardzo przedłużało drogę; dla uniknienia tego, w miejscu gdzie przepaść była najwęższą, zarzucono tuż obok siebie dwa na w pół obrobione pnie drzewa, które uproszczały drogę i zarazem roztaczały w całéj pełni dziwnie piękny widok, przed oczami przechodnia tego improwizowanego mostu, urządzonego z rozkazu p. de Camors, o czem żona jego nie wiedziała dotąd.

Przez chwile oboje przypatrywali się w milczeniu, aż gdy p. de Camors ukazał żonie pnie rzucone nad przepaścią: Czy mam przejść tamtędy? zapytała urywanym głosem.

— Jeśli się nie boisz, odpowiedział, z resztą wszak będę obok ciebie.

Widząc wachanie, spojrzał na żonę, i uderzyła go nadzwyczajna bladość jéj twarzy, uwydatniona pod białem światłem księżyca, zadziwiony, rzekł: Sądziłem że jesteś odważniejszą.

Słysząc to bez wachania wstąpiła na most niebezpieczny, i postępując ostrożnie, mimowolnie niemal co chwila odwracała głowę, co naturalnie utrudzało przejście. Nagle zachwiała się mocno, postrzegłszy to, p. de Camors poskoczył co prędzéj, ale z pośpiechu i przestrachu ręka, którą pragnął ją powstrzymać zbyt pośpiesznie i gwałtownie się opuściła, tak iż pani de Camors, ciągle straszną dręczona myślą, mniemała że chciał zepchnąć ją w przepaść. Wyciągnęła ręce jak gdyby chcąc go odepchnąć, i wydając krzyk przerażający jak szalona przebiegła most i wpadła do lasu. P. de Camors osłupiały, przerażony, nie mogąc pojąć co się stało, co prędzéj pobiegł za żoną, i ujrzał ją opartą o pierwszy napotkany pień drzewa, zwróconą ku niemu, z wyrazem przerażenia ale zarazem i groźby; a gdy już zupeł-

nie zbliżył się do niéj, usłyszał straszny wyraz. Nędzniku!

Spoglądał na żonę z rzeczywistem obłąkaniem, gdy w tem posłyszał odgłos przyśpieszonych kroków, cień mignął w gęstwinie lasu i nagle ujrzał panią de Técle. Przybiegła zadyszana, drżąca z przerażenia, i porywając rękę córki, stanęła obok niéj wołając: Przynajmniéj obiedwie razem....

Zrozumiał nareszcie, dziki krzyk uwiązł mu w gardle, konwulsyjnym ruchem obiema dłońmi pochwycił się za czoło, potem z rozpaczą opuszczając ręce, zawołał głuchym głosem: A! bierzecie mnie za zabójcę!... a więc dodał gwałtownie, czegóż stoicie?..., czegoż czekacie?... uciekajcież!... uciekajcież co prędzéj.

Oszalałe przerażeniem, bezprzytomne, posłuchały go i zaczęły uciekać, pani de Tècle trzymając córkę za rękę ciągnęła ją niemal gwałtem i znikły w ciemności lasu.

A on?... jakby przykuty pozostał w tem dzikiem ustroniu, nie wiedząc liczby upływających godzin. Już to machinalnie tam i napowrót chodził wielkim krokiem po ciasnéj od przepaści oddzielającéj go przestrzeni, już to zatrzymywał się nagle, z osłupiałym wzrokiem, nieruchomy i martwy jak pień drzewa o który się opierał. W téj jednéj nocy przetrwał całe wieki boleści, i zdaje się że Opatrzność co sprawiedliwą szalą mierzy nasze cierpienia i nasze winy, musiała pewnie w niezmierzonem miłosierdziu swojem, policzyć mu te straszne godziny.

XII.

Nazajutrz rano, margrabina de Camprallon przechadzała się w swoim parku, po nad brzegami stawu którego przezrocza błyszczały zdala wśród drzew zieleni. Szła powoli, z pochylonem czołem, wlokąc po piasku długi ogon swéj żałobnéj sukni, a brzegiem stawu, tuż obok niéj, jakby straż przyboczna płynęły dwa łabędzie śnieżnéj białości, oczekując posiłku, który im często własną rzucała ręką. Zadrżała nagle, p. de Camors stał przed nią. A już nie miała nadziei że powróci do niéj; westchnęła i prędko rękę położyła na sercu, jakby zrucając przygniatający je ciężar.

— Tak, to ja, zawołał, podaj mi rękę. Wyciągnęła dłoń ku niemu, pochwycił ją w swoje. Miałaś słuszność, Karolino, podobne węzły nie dadzą się zerwać... myślałem o tem wprawdzie... ale obecnie wyrzucam sobie tę słabość... za którą zresztą tak strasznie byłem ukarany... jednak mimo to jeszcze proszę cię o przebaczenie.

Spojrzała na niego tym uroczym wzrokiem, co tak wielką nań wywierał władzę i obie podała dłonie. Usiedli na darniowéj kanapce, w cieniu stuletnich platanów. Wszak prawda, rzekł cicho, że myśl tak strasznéj zbrodni nie powstała w twéj głowie?.. i nie czekając odpowiedzi, dodał z goryczą: Zresztą, w takim razie bylibyśmy prawdziwie godni siebie, ponieważ mniemano że ja byłbym zdolnym ją popełnić!..

I po krótce opowiedział jéj całe zdarzenie wczorajsze, noc bezsenną spędzoną w lesie i niezłomne postanowienie że nigdy już nie powróci do żony.

I rzeczywiście postanowienie to było owocem bolesnych jego rozmyślań; bo i cóż miał robić?.. Była chwila iż myślał usprawiedliwić się przed temi co go tak śmiertelnie znieważyły, odkryć przed niemi serce i duszę, wyznać że w przeddzień właśnie, ze zgrozą i wstrętem odepchnął tę, co poważyła się objawić myśl o którą go obwiniały. Ale gdyby nawet zdobył się na tak straszne upokorzenie, czyż nie byłoby daremnem?.. Możnaż przypuszczać aby słowa pokonały nieufność, zdolną podobne powziąść podejrzenie? Domyślał się jego źródła, przypomniawszy sobie że żona jego była u pani de La Roche-Jugan i pojął że nie ma lekarstwa na wzbudzone przez nią podejrzenia, zajątrzone wspomnieniem przeszłości. Poczucie nieodwołalności, obrażona pycha, oburzenie za doznaną niesprawiedliwość, jedną tylko ukazywały mu drogę, na nią więc rzucił się rozpacznie.

Niezadługo pani de Camors i jéj matka dowiedziała się od sług i z pogłosek publicznych, że hrabia wynajął i zamieszkał w domku wiejskim, leżącym w pobliżu zamku de Camprallon; tu z dziesięć listów napisał i spalił, aż w końcu postanowił bezwzględne zachować milczenie. Biedne kobiety drżały z obawy, aby im nie odebrał syna: wprawdzie myśl ta mignęła w jego głowie, ale odepchnął ją jako zemstę niegodną siebie.

To osiedlenie się p. de Camors w pobliżu Camprallon, ujawniło stosunki jego z margrabiną, i jak to po dziś dzień pamięta publiczność paryzka, głośnéj wrzawy narobiło w wielkim świecie, budząc zarazem do życia nieco uśpione pogłoski. Pan de Camors wiedział o wszystkiem i z pogardą ruszał ramionami; rozdrażniona jego pycha znajdowała jakąś dziką rozkosz w najgrawaniu się z opinji, a zresztą znał dobrze ów tak zwany wielki świat, i wiedział że nie ma położenia, któregoby nie dał sobie narzucić, przy pomocy czelności i wielkiego majątku.

I powrócił do swego zwykłego czynnego życia, energicznie oddał się pracy i o świetnéj marzył przyszłości. Pani de Camprallon z swéj strony podsycała świetne jego nadzieje, przyrzekłszy sobie wzajemnie nigdy nie rozłączać. Pani de Camprallon posiadała miljony, on także miał ogromny własny majątek nie było więc zbytku, przepychu, fantazji, którychby sobie odmawiać mieli.

Po ukończeniu żałoby margrabiny postanowili powrócić do Paryża i tam zamieszkać we własnych pałacach, obecnie zaś odbyć kilkomiesięczną podróż za granicę. Były to najszczęśliwsze chwile w życiu margrabiny, bo pan de Camors, jak gdyby chciał wynagrodzić chwilowe opuszczenie, okazywał jéj namiętne, gorączkowe jakieś przywiązanie. To gorączkowe usposobienie towarzyszyło mu wszędzie, tak w pracach naukowych jak we wszelkich nawet drobiazgowych zajęciach, a jego czoło i oczy dziwnym jakimś gorzały blaskiem, co niezwykłą jego piękność niezwyczajnym otaczało urokiem.

Zdarzało się często, że wróciwszy od margrabiny pracował w późną noc, a nieraz aż do dnia. Pewnéj nocy, na parę tygodni przed dniem w którym zamierzali wyjechać za granicę, kamerdyner hrabiego sypiający w przyległym pokoju, posłyszał z przestrachem jakiś niezwykły hałas w pokoju pana, pobiegł tam co prędzéj i ujrzał hrabiego leżącego bez przytomności na posadzce, około biórka przy którem pra-

cował. Służący ten, imieniem Daniel, posiadał zupełne zaufanie swego pana i szczerze był do niego przywiązany; przerażony, nie wiedząc co począć, zadzwonił i posłał zawiadomić panią de Camprallon. Przyjechała natychmiast i weszła do pokoju właśnie w chwili, gdy p. de Camors otrzeźwiony z zemdlenia, ale blady i chwiejący, szedł przez pokój oparty na ramieniu Daniela. Na widok margrabiny, wyraz żywego niezadowolenia wybił się na jego twarzy i surowo zgromił służącego za jego niewczesną gorliwość. Powiedział pani de Camprallon, że nie potrzebnie się trudziła, że od dzieciństwa podlegał podobnym osłabieniom, pożegnała go więc zaraz, zaklinając tylko aby się nie oddawał zbytecznéj pracy.

Gdy nazajutrz przyjechał do niéj znalazła go bardzo zmienionym, nie trwożyła się jednak, przypisując to znużenie wstrząśnieniu jakiego doznał w nocy, jednakowoż gdy zaczęła mówić o blizkiéj podróży, zadziwiła ją a nawet zaniepokoiła jego odpowiedź: Proszę cię, odrzekł, odłóżmy to na późniéj, nie mam dość sił do przedsięwzięcia téj podróży.

Dnie upływały i ani jednem słówkiem nie przypominał o zamierzonym wyjeździe, ciągle był smutny, milczący i posępny: sztuczny, gorączkowy zapał, ożywiający go dotąd rozwiał się jak mgła, przestał nawet pracować pogrążając się w bezmyślnéj bezczynności. Z wieczora, wcześnie bardzo opuszczał margrabinę, a gdy niespokojna zaczęła wypytywać Daniela, powiedział jéj że hrabia zupełnie zarzucił pracę, że całe niemal noce słyszy go chodzącego w swoim gabinecie, a jednocześnie zdrowie jego widocznie pogorszało się z dniem każdym.

Kiedy pewnego dnia przechadzali się po parku, margrabina rzekła do niego: Mój przyjacielu, ukrywasz coś przedemną... a ja widzę że cierpisz... o! powiedz, powiedz co tobie?

— Nic mi nie jest.

— Powiedz, zaklinam cię.

— Raz powiedziałem, że nic mi nie jest, odparł niecierpliwie.

— Może tęsknisz do syna.

— Nie tęsknię do nikogo.

Po chwili milczenia, zawołał: O! gdy pomyślę że jest ktoś na świecie co mnie nazwał nędznikiem... w przekonaniu że tak jest w istocie.., i że ten ktoś i dziś tak myśli... i zawsze myśléć tak będzie... strasznie powiedzieć co się w duszy mojéj dzieje. Gdyby to jeszcze mężczyzna, dawno już jeden z nas nie żyłby na świecie... ale kobieta! ach! to okropnie... okropnie!.. I zamilkł.

— No więc czegóż chcesz?.. czego żądasz?.. zawołała uniesiona margrabina. Mamże wyznać jéj prawdę... powiedzieć jak niesprawiedliwie posądziła cię wówczas właśnie, gdy całą duszą chciałeś przeciwko mnie stanąć w jéj obronie... wyznać że od dawna kochasz ją a mnie nienawidzisz?.. Jeśli chcesz tego, powiedz mi wyraźnie... zdaję mi się że w téj chwili zdobędę się na to, bo nie podobna dłużéj zostawać w takiem rozdrażnieniu...

— Obrażasz mnie! zawołał żywo; możesz mnie odepchnąć, ale nikogo nie kocham prócz ciebie. Cierpię, bo duma moja srodze została dotkniętą... gdybyś mi wyrządziła tę zniewagę, abyś miała pójść mnie usprawiedliwiać, daję ci najuroczystsze słowo, że ani jéj, ani ciebie nigdybym już potem nie chciał widzieć...

Połowa grudnia minęła, czas było wracać do Paryża, ale gdy napomknęła o tem p. de Camors, odpowiedział: I na cóż szukać Paryża, kiedy nam tu tak dobrze?..

Nieco późniéj przypomniała mu że nadchodzi pora otwarcia izb; wymówił się brakiem zdrowia, i chciał złożyć mandat deputowanego, i zaledwie ubłagała go że poprzestał na żądaniu urlopu.

Od téj chwili rozchwiały się zupełnie urocze marzenia szczęścia, błyszczenia i królowania w wielkim świecie i margrabina zaczynała przeczuwać smutną przyszłość w której czekała ją samotność, poniżenie, i łzy gorzkie, jakie w skrytości wylewać miała.

Wiadomo jak ciężko upływa życie tym, którzy nie szukając jakiéjkolwiek rozrywki w ciężkim pogrążają się smutku; tygodnie, miesiące, całe pory roku zmieniały się z kolei, ciągnąc się tak powoli i jednostajnie, że w myślach hrabiego i margrabiny żadnego niemal nie zostawiały śladu. Pan de Camorbył zawsze równie uprzedzająco ale zimno grzeczny i milczący, margrabina uprzedzająco, serdeczną, ale w każdym jéj kroku tłumiona przebijała boleść. Codziennie przed południem wyjeżdżali na konną przes jażdżkę oboje czarno ubrani, oboje piękni i smutni, a okoliczni mieszkańcy poglądali na nich z uszanowaniem i przerażeniem zarazem.

Z początkiem następnéj zimy, niepokój margrabiny wzrastał z dniem każdym, jakkolwiek bowiem p. de Camors nie skarżył się nigdy, widocznie jednak zdrowie jego ciągle się pogorszyło. Świetna zawsze cera, zaczęła przybierać miedzianą jakąś barwę, zagasł ogień ożywiający dawniéj piękne jego oczy, siły niknęły widocznie. Nie uprzedzając go, margrabina przywołała biegłego doktora, ujrzawszy go, hrabia zmarszczył brwi, wysłuchał jednak rad i przepisów jego ze zwykłą sobie uprzejmością. Doktór dostrzegł symptomata chronicznego zapalenia wątroby, nie widział niebezpieczeństwa, zalecił jednak jechać do Vichy, zachowywać pewne ostrożności hygieniczne i jak największą spokojność umysłu. Gdy po oddaleniu się doktora, margrabina zaczęła namawiać hrabiego aby wraz z nią jechał do Vichy, ruszył tylko pogardliwie ramionami i nic nie odpowiedział.

W kilka dni późniéj, pewnego poranku, margrabina zobaczyła Medje, ulubioną klacz hrabiego, zmęczoną, dyszącą, i spienioną, zakłopotany mastalerz wypowiedział nareszcie, że jest to skutek długiéj porannéj przejażdżki hrabiego. Margrabina zaczęła badać Daniela, który od jakiegoś czasu stał się jéj powiernikiem, i ten wyznał nareszcie, że pan jego często wyjeżdża późnym wieczorem, i nie wraca aż nadedniem. Daniel bolał bardzo nad temi nocnemi wycieczkami, które jak mówił do reszty wycieńczały nadwątlone siły hrabiego, a w końcu nareszcie wyjawił margrabinie że celem ich było zawsze Reuilly.

Opuszczona od męża, pani de Camors stale zamieszkała w Reuilly, odległem o dziesięć mil francuzkich od Camprallon, jednak jadąc bocznemi ścieżkami, można było znacznie skrócić drogę. Tak więc p. de Camors nie wachał się dwukrotnie w przecią-

gu nocy przebywać długą tę drogę, dla tego jedynie, aby kilka chwil odetchnął tem samem co żona i dziecko jego powietrzem. Daniel towarzyszył mu pare razy, najczęściéj jednak samotnie odbywał te przejażdżki, i zostawiając konia w lesie, cicho i ostrożnie zakradał się pod pałacyk, i kryjąc się w cieniu drzew, jakby jaki złoczyńca, śledził chciwie okna, światło, szmer, najlżejsze oznaki życia tych ukochanych istot, od których niezgruntowana przepaść oddzielała go na wieki.

Margrabina wpół rozgniewana, wpół przerażona dziwactwem, które według niéj graniczyło z szaleństwem, udawała że nie wie o niczem, ale zbyt dobrze znali się oboje, aby długo zdołali coś ukryć przed sobą. Poznał też wkrótce że znała jego tajemnicę i nie myślał bynajmniéj nieprzeniknioną otaczać się skrytością. Cóż go teraz obchodziło co ona myślała!...

Pewnego dnia ku końcowi Lipca wyjechał konno po południu i nie wrócił na obiad, późnym wieczorem stanął w Reuilly, wszedł do ogrodu z zachowaniem zwykłych ostrożności, i dzięki dokładnéj znajomości miejscowości i zwyczajów domowych, mógł niepostrzeżenie zbliżyć się do pawilonu, w którym mieścił się pokój hrabiny i jéj syna. Wielkie balkonowe okno tego pokoju wychodziło wprost na taras ogrodu, i do połowy było otwarte, ukryty po za żaluzią, pan de Camors mógł swobodnie patrzeć w głąb pokoju. Dwa lata dochodziło jak nie widział żony, syna i pani de Técle, teraz ujrzał ich razem. Pani de Tècle siedziała przy kominku z robótką w ręku, twarz jéj nie zmieniła się prawie, jak dawniéj była piękną i młodą, ale szron siwizny całkiem pobielił jéj krucze włosy, pani de Camors siedziała na kozetce prawie na przeciwko okna, trzymała syna na kolanach i rozbierając gwarzyła z nim wesoło całując i pieszcząc.

Na dany znak dziecię w koszulce uklękło u stóp matki, złożyło pobożnie rączki, i zaczęło odmawiać głośno zwykłą wieczorną modlitwę. Matka podpowiadała mu czasami, modlitwa ta złożona z krótkich ustępów dostępnych pojęciu tak młodziutkiego umysłu, kończyła się temi słowy: „Dobry Boże! błogosław mojéj matce, babce, wszystkim moim, a nadewszystko, o Boże litości! czuwaj i zmiłuj się nad moim nieszczęśliwym ojcem!“ Ostatnie słowa wyrzekł nieco pośpiesznie, po dziecinnemu, matka surowo spojrzała na niego, i natychmiast powtórzył raz drugi z jakimś wzruszonym naciskiem, jak dziecię wiernie powtarzające wyuczony dźwięk głosu: „A nadewszystko, o Ojcze litości! czuwaj i zmiłuj się nad moim nieszczęśliwym ojcem!

Niewypowiedziane wzruszenie ogarnęło p. de Camors; oddalił się nagle i wyszedł z ogrodu, udając się do lasu gdzie noc całą przepędził. Teraz o niczem nie myślał, niczego nie pragnął jak tylko zobaczyć raz jeszcze swego syna, mówić z nim, ucałować i do serca przycisnąć. Przypomniał sobie że dawniéj co rano noszono dziecię do najbliższéj osady, na mleko prosto od krowy, wnosił więc że nie zaniechano tego zwyczaju i niecierpliwie oczekiwał poranku, ukryty przy ścieszce osłoniętéj gęstemi krzakami. Jakoż gdy zwykła nadeszła godzina, usłyszał odgłos kroków, śmiechy, wesołe krzyki, a nareszcie ujrzał syna biegnącego drożyną. Był to już wówczas śliczny pięcioletni chłopczyna, a twarzyczka jego i wszystkie ruchy tchnęły jakimś pociągającym wdziękiem i jakby smętną, z wiekiem niezgodną powagą. Postrzegłszy na ścieszce pana de Camors, zatrzymał się, zawachał na widok téj obcéj lub może na wpół tylko zapomnianéj twarzy, uspokoił go jednak tkliwy błagalny niemal uśmiech p. de Camors: „Panie rzekło nieśmiało dziecię. Camors roztworzył ramiona i pochylony jak gdyby chciał paść na kolana, wyszeptał: Chodź, chodź, drogie dziecię, uściskaj mnie błagam cię! I już dziecię przysuwało się do niego z uśmiechem, gdy w tem nadeszła towarzysząca mu dawna jego mamka, i nagle cofnęła się przerażona, wołając stłumionym z przestrachu głosem: Twój ojciec!..

Usłyszawszy te słowa, dziecię krzyknęło głośno, i cofając się z niewypowiedzianym przestrachem, przytuliło się do niéj, wlepiając w ojca przerażone oczy. Dawna mamka wzięła go za rękę i uprowadziła co prędzéj.

Pan de Camors nie płakał, tylko straszne, konwulsyjne skrzywienie zacisnęło kąty ust jego, uwydatniając jeszcze bardziéj schudnięcie zapadłych policzków. Całe ciało jego zatrzęsło się kilka razy jakby febrycznym dreszczem, przesunął zwolna ręką po czole, westchnął ciężko — i odjechał.

Pani de Campralion nie wiedziała nic o tem zdarzeniu, ale gorzko uczuła jego następstwa. Od téj bowiem chwili, już i tak głęboko wstrząśnięty charakter p. de Camors, zmienił się do niepoznania, i nawet owa zimna grzeczność jaką jéj dotąd okazywał, teraz znikła bez śladu. Uciekał od niéj wyraźnie, okazywał dziwny wstręt strzegąc się i unikając dotknięcia jéj ręki. Widywali się teraz bardzo rzadko, gdyż Camors pod pozorem osłabionego zdrowia całe tygodnie nie wychodził z pokoju.

Sprawiedliwość Boska objawiła się w całéj swéj sile. Dwie te istoty młode, piękne, tak wysokie i świetne zajmujące stanowisko, otoczone królewskim niemal przepychem, jakże nędzny wiodły żywot, jak godny pożałowania przedstawiały obraz. Nie raz można ich było widzieć błądzących jak dwa widma w pośród przepysznych alei rozległego parku, zdobnego w najcudniejsze krzewy, kwiaty, wodotryski i posągi marmurowe, niekiedy spotykali się wypadkowo, ale nigdy nie mówili z sobą.

Nareszcie w końcu września Camors przestał zupełnie wychodzić z pokoju, pani de Campralion chciała go odwiedzić, ale Daniel oznajmił że pan jego przykazał mu najsurowiéj, aby nie wpuszczał nikogo.

— Jakto, nawet mnie? zawołała.

— Niestety! pani margrabino, najgłówniéj pani, a gdy chciała wejść koniecznie: Daruj pani, rzekł Daniel, ale gdybym jéj wejść pozwolił, pan hrabia wypędziłby mnie natychmiast.

(d. n.)

TYGODNIK MÓD W WARSZAWIE
ROK 1867. № 206.

Paletot
1. Przednia część
2. Klapka
3. Bok.
4. Połowa pleców
5. Połowa kołnierza stojącego.
6. Rękaw.

Całość rycina 10. w Tygodniku № 51.

Kaftanik dla dziecka od 2ch do 4ch lat.
7. Przednia część
8. Połowa pleców
9. Rękaw.

Całość rycina 1a w Tygodniku № 49.

Garnitur z kołnierzyka, mankieta i chusteczki do nosa
10. Połowa kołnierzyka
11. Mankiet.
12. Czwarta część chusteczki

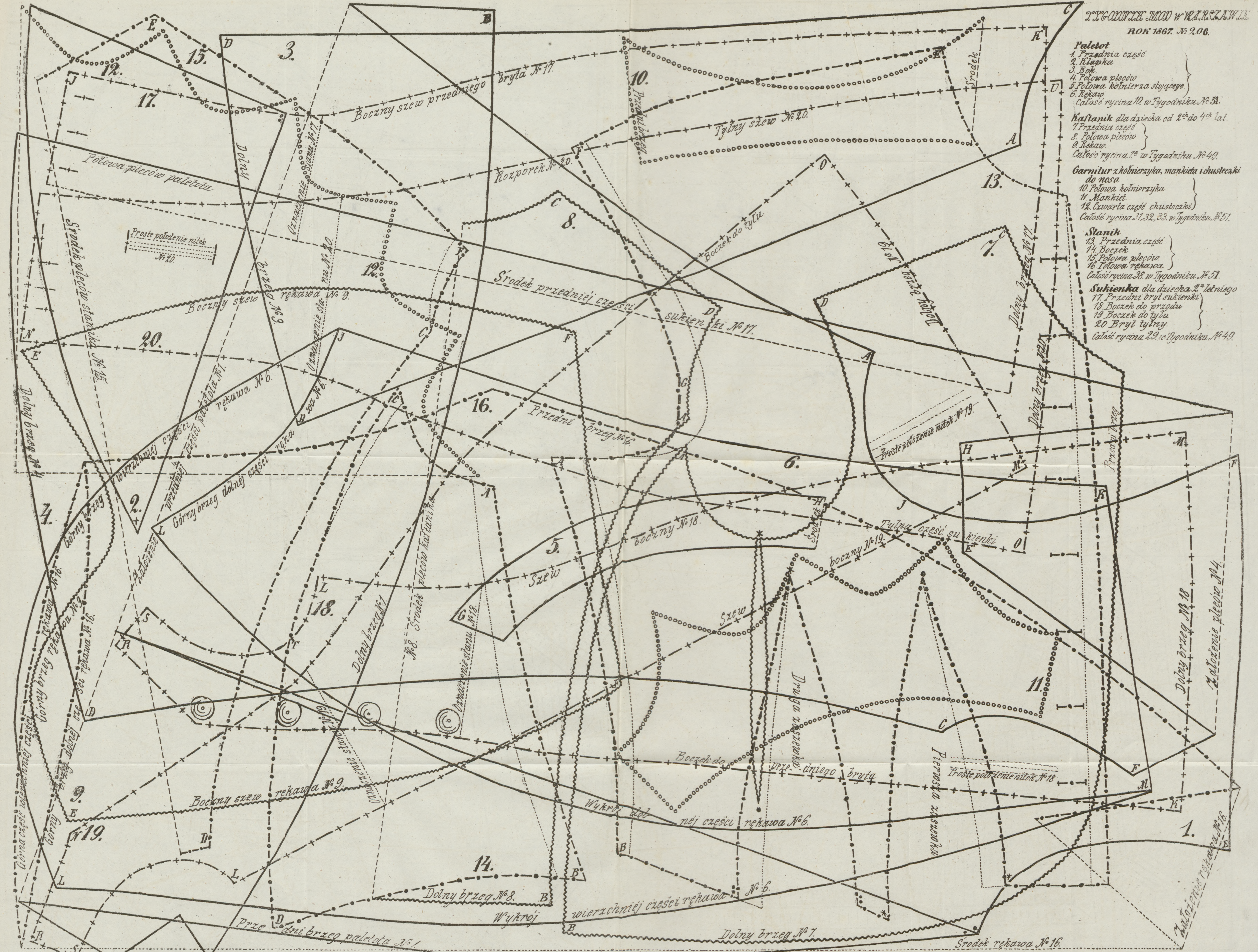
Całość rycina 31, 32, 33. w Tygodniku № 51.

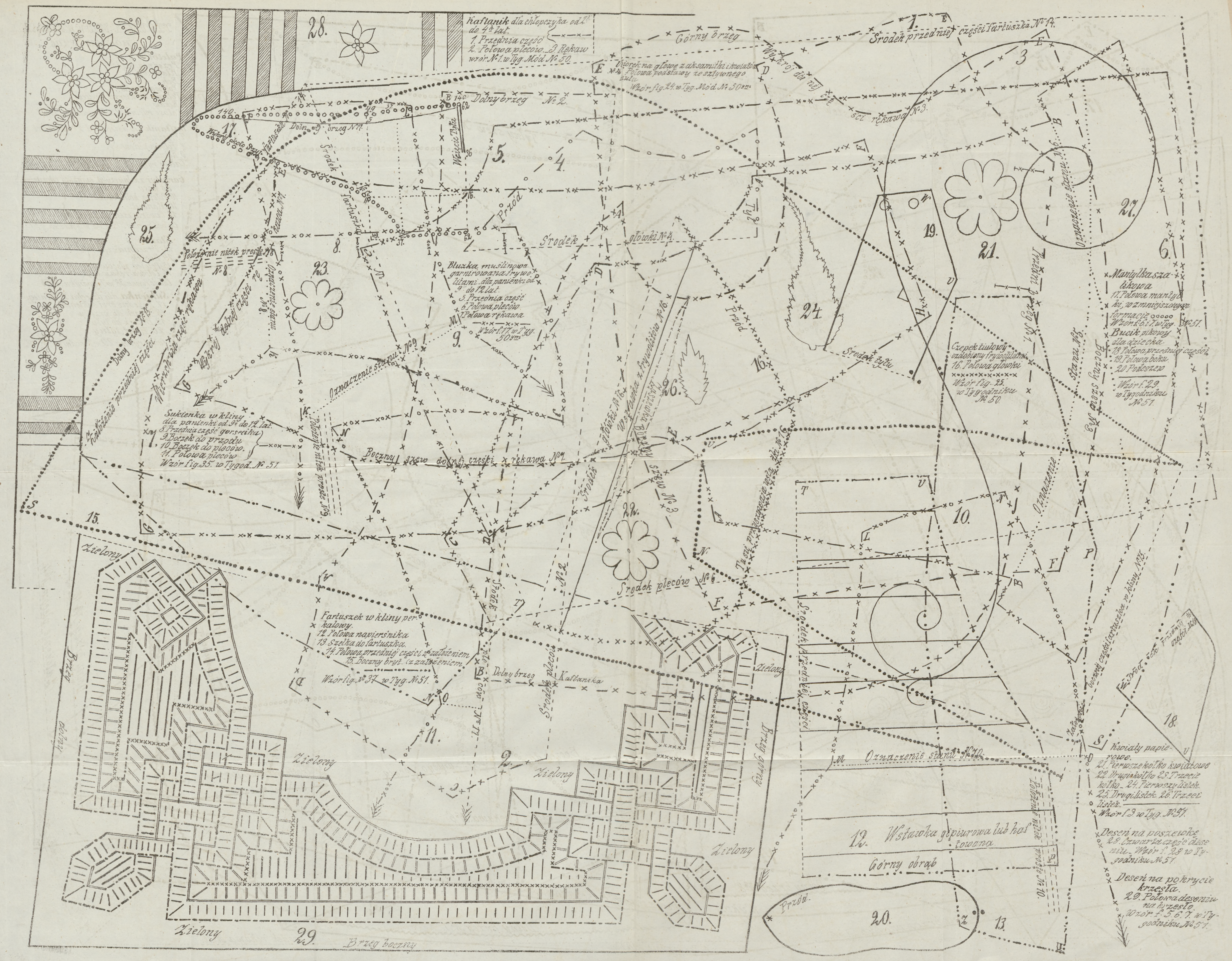
Stanik
13. Przednia część
14. Boczek
15. Połowa pleców.
16. Połowa rękawa

Całość rycina 38. w Tygodniku № 51.

Sukienka dla dziecka 2u letniego
17. Przedni bryt sukienki
18. Boczek do przodu
19 Boczek do tyłu
20 Bryt tylny.

Całość rycina 29. w Tygodniku № 49.





Kaftanik dla chłopczyka od 2go do 4ch lat.
1. Przednia część
2. Połowa pleców _ 3. Rękaw
wzór N. 1. w Tyg. Mód N. 50.
Górny brzeg
Dolny brzeg N. 2.
Środek przedniej części fartuszka N. 14.
Wiorek na głowę z aksamitki i kwiatów
N. 4. Połowa podstawy ze sztywnego tiulu
Wzór fig. 24. w Tyg. Mód N. 50 ym.
Bluzka muślinowa garnirowana frywolitami dla panienki od 9 do 12 lat.
5. Przednia część
6. Połowa pleców
7. Połowa rękawa
Wzór f. 17. w Tyg. 50 ym.
Położenie nitek proste N. 8
Oznaczenie stanu N. 9
Sukienka w kliny dla panienki od 9 do 12 lat.
8. Przednia część gorsecika
9. Boczek do przodu
10. Boczek do pleców.
11. Połowa pleców
Wzór fig. 35. w Tygod. N. 51.
Boczny szew dolnej części rękawa N. 7
Środek
Środek pleców N. 6
Czepek tiulowy ozdobiony frywolitami.
16. Połowa główki
Wzór fig. 25. w Tygodniku N. 50.
Mantylka szalikowa
17. Połowa mantylki, w zmniejszonym formacie
Wzór f. 6 i 7. w Tyg. N. 51.
Bucik pikowy dla dziecka.
18. Połowa przedniej części
19. Połowa boku.
20. Podeszwa
Wzór f. 29. w Tygodniku N. 51.
Fartuszek w kliny perkalowy.
12. Połowa napierśnika
13. Szelka do fartuszka.
14. Połowa przedniej części z założeniem
15. Boczny bryt. (z założeniem
Wzór fig. N. 37. w Tyg. N. 51.
Dolny brzeg
Oznaczenie stanu N. 10.
12. Wstawka gipiurowa lub haftowana
Górny obrąb
Przód
Zielony
Brzeg boczny
Kwiaty papierowe.
21. Pierwsze kółko kwiatowe
22. Drugie kółko 23. Trzecie kółko _ 24. Pierwszy listek.
25. Drugi listek. 26. Trzeci listek.
Wzór f. 3. w Tyg. N. 51.
Deseń na poszewkę
28. Czwarta część deseniu _ Wzór f. 28. w Tygodniku N. 51.
Deseń na pokrycie krzesła.
29. Połowa deseniu na krzesło.
Wzór f. 5. 6. 7. w Tygodniku N. 51.